

Krystyna Janda – zdradzona

Zawsze jest święto, gdy stołeczni artyści nawiedzają Kraków – prowincjonalne miasto z powodu braku odpowiednich lokali estradowych, jeśli nie chce się popaść w obłęd biletowych cen przy wynajmie całego teatru. W dzień po swoich imieninach Krystyna Janda wystąpiła w sali-hali przy ul. Lubicz, gdzie niemożliwa jest kameralność i intymny kontakt między sceną a widownią. Przywiązana do stelaża mikrofonu i rzutnika powiększającego jej głowę na ekranie, ograniczona więc w ruchu tylko do ekspresji rąk, twarzy i głosu, pozbawiona rekwizytów (papieros, bransoletka) – Janda, sama jak palec, przez dwie godziny więziła naszą uwagę i kierowała emocjami.

Po niedysyjszej „Białej bluzce”, a potem „Shirley Valentine” (200 przedstawień w Warszawie!) artystka zrobiła spektakl z pamiętnika „Kobiety zawiedzionej”, odepchniętej, zdradzonej – na podstawie tekstu Simone de Beauvoir, towarzyski Sartre’a w życiu, literaturze i filozofii. Jeśli on był papieżem egzystencjalizmu, to ona („La grande Sautreuse”) chciała być jego damskim odpowiednikiem, papieżycą w środowisku paryskich intelektualistów, których bezlitośnie ukazała w „Mandarynach”. Głównie jednak konflikt mężczyzna-kobieta stał się przedmiotem jej analiz psychologicznych i socjologicznych („Druga pleć”), przynosząc miano żywego symbolu międzynarodowego feminizmu.

Odważna w piórze i obyczajach miała głośne romanse, popierane przez Sartre’a, bo „programowo” zacieśniały ich związek – z amerykańskim pisarzem Nelsonem Algrenem, autorem sfilmowanego „Człowieka o złotym ramieniu”, i z Claudem Lanzmannem – tym od „Shoah”. Własne doświadczenia i wspomnienia rozsiała po swoich powieściach, są one obecne i w „Kobiecie zawiedzionej”.

Krystyna Janda złagodziła oskarżenie mężczyzny w tekście Beauvoir, jak w ogóle zściśliła dawną agresywność i okiełznała temperament, co można było już dostrzec w jej ostatnim filmie „Zwolnieni z życia”. Bohaterka jest zadziwiona, że spotkała ją klęska tak banalna, jak męzowska zdrada, dzieli się raczej skargą niż gniewem, niepewna swego. „Nie wiem, boję się” – to najczęstsze słowa w jej ustach.

Występ Krystyny Jandy to nie gładki monolog, ani melorecytacja. Narratorka gubi świadomie rytm pośród wahań, przyspieszeń i pauz. Opowieść rozfalowana jest w nastrojach: upokorzenie, zawód miłosny, poczucie winy, próba walki, gorycz krzywdy; łączy rezygnacji. Gdy mówi o historii bohaterki, opowiada o tym spokojnie; gdy charakteryzuje postępowanie męża i sylwetkę rywalki, robi to cierpko, ale bez jadu. A już kapitalnie relacjonuje dialogi – z mężczyzną, z przyjaciółmi, z córką! Rozbawia nas i wzrusza...



Do monodramu, opracowanego przez Magdę Umer, ściśle przylegają piosenki (do słów Wojciecha Młynarskiego i Jeremiego Przybory). Ach, te lata sześćdziesiąte w muzyce rozrywkowej! Prywatnie dziękuję zespołowi muzycznemu za muśnięcie motywu z Bechetowskiego „Petite fleur”, a są jeszcze utwory z repertuaru Montanda, Aznavoura, Earthy Kitt. Jest Kosma i LeGrand, jest Lai z filmu „Kobieta i mężczyzna”... Janda wplata je w opowiadanie niemal niezauważalnie, śpiewa, częściej nuci, czasem to tylko parlando – wszystkie różnicowane w wyrazie; dramatycznie akcentowane „Moje życie”, lekko podane „C’est si bon!”, bardzo smutny „Śnieg”, nostalgiczne „Martwe liście”.

Krystyna Janda jest inna niż Monika, kobieta zawiedziona. Grywa przeważnie osoby mocne, a i w życiu należy do tych, które „dają sobie radę”. Na scenie stworzyła się zupełnie i to jest właśnie sztuka.